



RSW „Prasa”
Wycinki Prasowe
GLOB

Warszawa, Emilii Plater 10
Tel. 8-59-59; 8-61-36

Abonent Nr _____

Wycinek z czasopisma

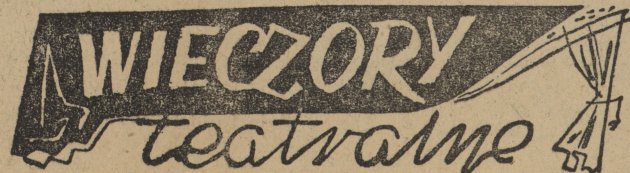
GAZETA ROBOTNICZA

Wrocław

wydanie _____

Nr _____ z dn. 19 I 1957 r.

Józef Kelera



Naiwni, wierzyliśmy prorocत्वom

BEZ PRZESADY, panowie, bez przesady, jak mówią politycy i obrońcy racji stanu. Bez „entuzjazmu i egzaltacji”, jak powiadał zarny liberat Kazimierz Brodziński. „Ararat” nie jest komedią aż „filozoficzną” i tak dalece „wielodenną”, jak głoszą entuzjasci, zmęczeni do ostatka sztampą „obyczajówek”, drążących „życie” na głębokość dwóch palców. Wystarczy jednak, że budowany jest na zasadzie jakiejś metafory — nie „głębiniowej” znaczeniowo, nie oświecającej przecież i nie rewelacyjnej; wystarczy, że mówi o czymś **poprzez coś**, że jakiejś reszty nie dopowiada, że dostarcza widzowi zabawy i satysfakcji jakoś najelementarniej **dwustopniowej** — na drugim stopniu płynącej jednak z refleksji, z przyjemności samodzielnego rozwijania i przenoszenia pewnych skrótów i znaków zastępczych, konkretyzowania narzucających się uogólnień, dość prostych zresztą i łatwych. To wiele, mimo wszystko, to nawet bardzo wiele. Na tle przynębiającej szarzyzny wciąż jeszcze nie wyrudowanych ze szczeniem głu-pawych komedii i pozorów dramatów, na tle szlafmycowa-tej psychologii i chybiomych często poszukiwań repertuari-owych — „Ararat” jest, a przy-najmniej może być w teatrze tykmiem świeżego powietrza, mo-że być przedstawieniem, na które, sadowiac się w krzesła, spojrzmy jaśniej, bystrzej, u-ważniej, bez znużenia i cę-piać już zniecierpliwienia, a z nadzieją. To na pewno duża szansa dla teatru.

„Ararat” ma doskonały dru-gi akt — pokaz dramaturgii

wysokiej klasy. Technicznie zresztą całość jest tak płynna (odwykliśmy od tej płynności w ostatnich latach), że grun-towniejsze prześledzenie szczeg-ółów konstrukcyjnych (nie tu oczywiście miejsce na to) mo-że przynieść wiele satysfakcji krytykowi, a rzetelną porcję doświadczeń legionowi mło-dych dramaturgów. Ale drugi akt jest mocny co się zowie — napięty, zwarty, dynamicz-ny, treściwy. Spór o władzę i przyszłe panowanie, rozg-rywały między trzema synami Noacha na arce, w przeddzień lądowania, narasta ze sceny na scenę z niekłamnym drama-tyzmem, jawnie i sugestywnie rzutuje się na współczesność, przydaje akcji tempa i nerwu, rozpala się i połyka coraz szybciej — aż do kończącej akt niezmiernie celnej (w tek-ście) sceny, przywołującej bez niała — w nawiasie podskór-nej ironii i groteski — kato-stroficzny obraz na miarę ja-kiejs kieszonkowej apokalipsy.

Ten dramatyczny wierzechołek sztuki jest jednak o tyle przed-wczesny, że trzeci akt — wy-taczając samo zakończenie — może być już tylko błędem, rozwodnionym powtórzeniem drugiego. Teraz biorą zdecy-dować górę żywioł ściśle rozrywkowy i pospolita „oby-czajówka”, dyskontujące wla-śny sposób nie za wielki ka-pitał przesłanek intelektual-nych nagromadzony poprzed-nio. Cały ten akt jest niemal tylko opóźnieniem zakończe-nia, na które przecież warto zaczekać. Trzej bracia, wciąż jeszcze gotowi skoczyć sobie do gardzieli o panowanie nad wymarłym, zatopionym świa-tem, zatamują się na widok

ruin rodzinnego miasta Ararat. Morał — przynajmniej ten be-sporny i leżący na wierzchu, w pierwszej warstwie — nie jest aż tak bardzo skompliko-wany: bawcie się ostatecznie jak sobie chcecie, tylko nie niszcźcie świata, bo gra nie warta świeczki.

Jest to nie tyle teza, ile ostrzeżenie, nie tyle program, ile memento, nie tyle system prawd i argumentów, ile głos rozsądku nieco ironicznego obserwatora, który, patrząc z ukosa, dochodzi do wniosku, że cała ta „dziwna zabawa” zapewne nie ma sensu. Oczy-wiście, w grę wchodzi i rasizm i walka klas, i wyzysk, i rewolucja (cały potop oka-zuje się spowodowany aktem rozpacz głodującego plemie-nia Kainitów), i nie są to by-najmniej wielkości, które moż-na by w rachunku pominąć, ale przed zniszczeniem tego nikczemnego świata (który ma przecież, mniem, mniem, swo-je uroki) i powyrzynanie i ię do cna — warto się chwilę zastanowić.

Teatr wrocławski potraktował tę zabawę — nie nazbyt prze-cież złożoną, ale i nie jedno-znaczną — jak najbardziej do-stownie, nie wychodząc p za wierzoną warstwę tekstu. Re-żyseria Artura Młodnickiego, sprawna i pomysłowa w sytua-cyjnym i ruchowym rozwiązy-waniu scen, wykazała zupełny brak koncepcji interpretacyjnej. Miał bawić się razem z pu-blicznością podawaniem dialo-gów i wyławianiem refleksów znaczeniowych, usiłował akto-rzy — jedni mniej inni więcej — „przeżywać” i psychologi-zować, grali na „ekspresję” i autentyzm odruchów. By prze-

konać widza jak dalece pasa-żerowie arki przerzeleni są wi-dokiem ruin Araratu, kazano się aktorom ustawić przy wy-maginanym oknie twarzą do widowni (nie na tym prze-cież polega „nowoczesność” i nie przypadkowo scenopis au-torski wyznacza to okno na przeciwległej do widowni ścia-nie) i w pełnym świetle punk-towego reflektora grać „prze-rażenie” — aż po wypychanie pięści w usta.

Powierzchniowość ujęcia i dosłowność interpretacji zacią-żyły szczególnie nad sceną końcową. Reżyser i zespół u-wierzyli autorowi, że w istocie skruszeni synowie Noacha rzu-cą się sobie na szyję i będą się odtańcować po brater-sku. To „świarszczykowate” ży-wa „kochajmy się”, jakie ukształtowane zakończenie wro-cławskiego „Araratu”, rozczula i żenuje naiwnością. Nie jest to wszakże naiwność autora.

Dostojnościom interpretacji zdaje się sekundować w pew-nych szczegółach nawet sceno-grafia Jadwigi Przeradzkiej, w całości zresztą udana (zwłasz-cza dobry pomysł z masztami), a zazwyczaj tak daleka od weryzmu. Po co jednak te wy-malowane „jak żywe” i rusza-jące się dla oznaczenia wiatru chmurki za oknem, wiodącym na pokład? Czy może miał to być w założeniu dowcip — taka „umowność” na odwrót? Jeśli tak, to wyznaję w po-korze ducha, że ten dowcip do mnie nie dotarł.

Tyle przykrych słów pod adresem teatru, a przecież był to jeszcze najciekawszy i najprzyjemniejszy w bieżą-cym sezonie wieczór Pań-sktwowych Teatrów Dramatycz-nych we Wrocławiu. Jego naj-

wieksza atrakcja — poza sztuką oczywiście — to ko-stiumy (raz jeszcze pani Prze-radzka). Poza tym z przy-jemnością po długiej przer-wie oglądałem łucję Burzyń-ską — bardzo spokojną, roz-sadną, w miarę naiwną i cie-pło krchającą „dzikuskę”. O-bok niej stosunkowo najbliż-szy właściwemu stylowi sztu-ki był Juliusz Berger jako Szem (niepotrzebnie kazano mu się czołgać po scenie w momencie handlu z Jafetem o królestwo i żonę). Panie Szumańska i Korycka (Mach-mada i Para) dały pokaz do-brego aktorskiego rzemiosła, w dość tradycyjnej jednak kon-wencji obyczajowej komedii, Mieczysław Łoza natomiast bardzo przedramatyzował i wyjaskrawił swego Jafeta, co zresztą nie było łatwe do u-niknięcia. Piotr Kurowski (Cham), a zwłaszcza Włady-sław Dewoyno (Noach) nie zdolał mnie przekonać do swych kreacji.

Bądź jak bądź, jeden „A-rarat” więcej czyni dla reedu-kacji i teatru i widza, niż ca-ła sezonowa karmiona „Tytonio-wymi drogami” i „Łatami w Nohant”, a nawet takimi po-kazami Shawa dla ubogich, jak ów, którym uraczono nas na premierze w wieczór syl-westrowy. Bawmy się tedy „Araratem” i czekajmy jesz-cze — nie od razu Wrocław odbudowany.

Józef Kelera

PTD we Wrocławiu. Teatr Kameralny: A. M. Swinarski — „Ararat”. Komedja w trzech aktach. Reżyseria A. Młodnicki; scenografia J. Przeradzka.